

ZJEDNOCZENI WŁAŚCICIELE RZECZYPOSPOLITEJ

Politykom Prawa i Sprawiedliwości wystarczyło zaledwie kilku lat zasiadania na salonach władzy, aby poczuli się „właścicielami Polski”. Ten termin, pochodzący z ostatnich lat dekady Gierka, dzisiaj znowu trafnie oddaje stosunek rządzących do państwa i jego obywateli.

Oto jeden z ostatnich przykładów. „A nie brzydzą pieniądze od tej paskudnej władzy?” – zapytała Krystynę Jandę była minister Elżbieta Rafalska, dzisiaj posłanka do Parlamentu Europejskiego. To była jej reakcja na wieść, że Ministerstwo Kultury i Sztuki przyznało pomoc finansową dla prowadzonego przez słynną aktorkę teatru. Przytyk był czytelny, bo Janda często krytykuje rządy prawicy, ale słowa Rafalskiej – obecnej w polityce od połowy lat dziewięćdziesiątych – pokazują jej stosunek do państwa. Nie trzeba być Sherlockiem Holmesem ani Philipem Marlowe’em, by dojść do wniosku, że Polska w przekonaniu europosłanki PiS jest po prostu własnością polityków tej partii, więc jako jej posiadacze mogą rozdawać pieniądze „po uważaniu”. Przede wszystkim swoim, co czynią chętnie i bez zahamowań, ale czasem, jak „dobrzy panowie”, są w stanie rzucić coś nawet swoim adwersarzom.

■ PRZYRODZONE, A NAWET BOSKIE PRAWO WŁAŚCICIELA

W ten sposób myśli polityczka, która w rządach Beaty Szydło i Mateusza Morawieckiego odpowiadała między innymi za politykę społeczną, a w czasie „pierwszego PiS-u” była wiceministrem w resortcie pracy i polityki społecznej. Nawiasem mówiąc, od półtora roku Rafalska bierze niemałe pieniądze z unijnej kasy, choć przecież Bruksela niestrudzenie dybie na naszą niezależność, chce nas ograbić z narodowej tożsamości, a nawet wprowadzić targi, gdzie pedofile będą mogli sobie „wybierać dzieci”...

Przykład drugi: posłanka PiS Joanna Lichočka w wywiadzie dla dziennika „Fakt” uznała, że najlepszą pomocą Niemiec dla Polski byłoby „odesłanie” do ojczyzny polskich lekarzy, pracujących w niemieckiej służbie zdrowia. Z wypowiedzi Lichočkiej można wnosić, że u progu trzeciego dziesięciolecia XXI wieku lekarz jest kimś w rodzaju chłopca pańszczyźnianego, a o jego miejscu zamieszkania i pracy decyduje właściciel. Przy okazji, choć zapewne w sposób niezamierzony, posłanka Lichočka po raz kolejny ujawniła nieujarzmioną prawicową nienawiść do naszych zachodnich sąsiadów – z jej słów można wnosić, że pracujący w Niemczech lekarze znaleźli się tam nie z własnej woli, ale zostali do tego zmuszeni, chciałby się rzec „wywiezieni na roboty”.

I trzeci przykład, autorstwa nieocenionego Ryszarda Terleckiego, zwanego często „ustami Jarosława Kaczyńskiego”: „A po co tam chodziła?” – w ten sposób wicemarszałek Sejmu podsumował potraktowanie gazem przez policję posłanki Barbary Nowackiej podczas warszawskiej demonstracji Ogólnopolskiego Strajku Kobiet. Widać w tym ciągotę Terleckiego do stworzenia regulaminu ściśle określającego, gdzie parlamentarzyści, zwłaszcza opozycji, powinni uczęszczać i w jakich sprawach mogą podejmować poselską interwencję. A także o czym mogą mówić, bo w ocenie Terleckiego listopadowe orędzie marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego było „opowiadaniem jakichś głupstw”. Terlecki dodał jeszcze wielkodusznie, że opozycja może mieć swoje zdanie, ale „nie powinna mieć zdania, które szkodzi Polsce, obywatelom Polski”. Właściciel, jak to właściciel, ma przecież przyrodzone, a nawet boskie prawo określenia, co służy, a co nie służy podległym mu włóścianom. Nie inaczej strowali opozycję peerelowsky komunisci, zwłaszcza z ekipy Edwarda Gierka i później Wojciecha Jaruzelskiego, którzy Jackowi Kuroniowi, Adamowi Michnikowi i innym przedstawicielom demokratycznej opozycji też „tłumaczyli”, na czym polega polska racja stanu.

■ PRYWATYZACJA SPÓŁEK SKARBU PAŃSTWA

To tylko słowa – choć w polityce słowa mają znaczenie fundamentalne – ale jest dużo więcej przykładów świadczących, że politycy Zjednoczonej Prawicy poczuli się właścicielami III RP. Przykładów bardziej drastycznych i bardziej wymownych.

Najbardziej wymowny dotyczy całkowitego opanowania spółek Skarbu Państwa. Natychmiast po wyborach 2015 roku rząd Beaty Szydło zmiotł wszystkich dotychczasowych prezesów tych spółek i obsadził ich zarządy, a także znaczną część stanowisk menedżerskich swoimi ludźmi. Większość nominatów objęła te stanowiska „bez żadnego trybu”, czyli konkursów sprawdzających kompetencje i rynkowe doświadczenie. Istotna była tylko lojalność, partyjna legitymacja lub zażyłość z ważnymi politykami którejs z prawicowych frakcji.

Rezultaty widać. Wartości notowanych na Giełdzie Papierów Wartościowych spółek, w których państwo ma udziały, spadła o 30 procent, czyli o 90 miliardów zł. Najbardziej cierpią na tym akcjonariusze, ale koszty ponosimy wszyscy, bo o ile w 2015 roku z tytułu dywidend notowane na giełdzie spółki Skarbu Państwa wpłaciły do budżetu 4,3 miliarda złotych, to w 2020 roku zaledwie 650 milionów. Od razu zastrzegam – dywidenda wypłacana przez spółki w 2020 roku to efekt ich ekonomicznych wyników w roku 2019, a więc sprzed kryzysu spowodowanego pandemią, roku wysokiej jeszcze koniunktury. Dzisiaj spośród 422 spółek, w których Skarb Państwa ma udziały, tylko jedna trzecia znajduje się w zadowalającej kondycji finansowej.

Główną przyczyną tego stanu rzeczy jest więc bez wątpienia kiepska jakość kadry menedżerskiej. I traktowanie spółek Skarbu Państwa jak partyjnej własności. W pandemii premier wydał największym z nich polecenie aktywnego udziału w walce z koronawirusem. Przejawem tego miał być między innymi zakup przez KGHM materiałów do ochrony osobistej, w tym maseczek. Koncern, w którym Skarb Państwa ma mniejszościowy, bo trzydziesto-procentowy udział, został zmuszony do przeznaczenia na ten cel ponad 140 milionów złotych. Sprowadził, korzystając z pośrednictwa nieznannej szerzej, małej spółki, między innymi maseczki, które szybko okazały się bezwartościowe. O ile pośrednik był mały i nieznan, to samolot, który ten nikomu niepotrzebny, bezwartościowy chłam przywiózł, był wielki i bardzo znany. Był to An-225 Mrija, najwięk-

szy samolot transportowy na świecie, legenda lotnictwa transportowego.

■ KOMU KASA, KOMU...

Obecność giganta na płycie lotniska miała pokazać, jak władza krząta się wokół obywateli, z jakim rozmachem walczy o ich zdrowie, jaka jest troskliwa i zapobiegliwa. Premier Morawiecki, beneficjent tego pijarowskiego spektaklu, obiecał KGHM zwrot wydatków. Od tego czasu minęło osiem miesięcy, państwo pieniędzy nie oddało. Stratny jest koncern – 140 mln zł to blisko 10 procent zysku netto wypracowanego przez KGHM w 2019 roku – ale przede wszystkim stratni są jego akcjonariusze, którzy zainwestowali w niego własne pieniądze.

Z podobnym mechanizmem mamy do czynienia w wypadku słynnych „sasinowych” 70 milionów złotych, które Poczta Polska wydała na organizację bezsensownych prezydenckich niewyborów, choć w tym wypadku akcjonariuszem jest tylko państwo. Ale nawet w takim przypadku politycy nie mają prawa, co regulują odpowiednie przepisy, dowolnie dysponować pieniędzmi podmiotu gospodarczego. Z pewnością dla obywateli większy byłby pożytek, gdyby Poczta Polska – dzisiaj symbol zacofania – zainwestowała te pieniądze w unowocześnienie swoich usług lub choćby podniosła pensje tragicznie dziś wynagradzanych listonoszy.

Inny, nieodległy w czasie przykład. Od wielu lat prawica narzeka, że Polska nie jest odpowiednio na świecie hołubiona, podziwiana i kochana. Lekarstwem na to miało być profesjonalne, zgodne z duchem czasu promowanie naszego kraju za granicą. Dlatego po dojściu do władzy PiS powołał Polską Fundację Narodową, a pieniądze na jej działalność polecił wpłacić spółkom Skarbu Państwa, w tym również notowanym na warszawskiej giełdzie. Początkowo miało to być 100 milionów złotych, ale już w 2018 roku wpłaty sięgnęły 220 milionów złotych. Efekty działalności Fundacji są, mówiąc najdelikatniej, bardzo skromne, ale to osobny temat, związany z profesjonalizmem piśmowskich kadr.

■ MEL GIBSON NA BIAŁO-CZERWONYM JACHCIE

Dla PiS korzyści z powołania Fundacji są oczywiste. Nie tylko stała się ona kolejnym miejscem, gdzie można upchnąć zaangażowanych zwolenników, a dzięki zleceniom dać zarobić zaprzyjaźnionym firmom. Przede wszystkim korzyścią była możliwość dysponowania dużymi środkami finansowymi na własne politycz-

ne cele, czego przykładem jest kampania idąca w sukurs rozbijaniu systemu sądowniczego.

Pytanie, jakie korzyści odnieśli akcjonariusze firm-fundatorów Polskiej Fundacji Narodowej, czyli między innymi PKO BP, Enea, Energa, czy PZU? Inwestorzy kupili akcje tych firm nie z sympatii do nich, ale dlatego, że „produkują pieniądze” i robiąc to, mieli nadzieję na zysk. Zasadne jest więc pytanie, czy inwestycja w Fundację zwiększyła zyski tych firm, czy kursy ich akcji wzrosły, a akcjonariusze zarobili? Czy mniejszościowi właściciele tych spółek w jakikolwiek sposób skorzystali na tym, że w świat wypłynął jacht w biało-czerwonych barwach (a później przez niezliczone miesiące stał popsuty w jakimś porcie na drugim końcu świata)? A może Jan Kowalski, posiadacz dziesięciu akcji PKO BP, skorzystał na słynnej kampanii szkalującej sędziów, czy choćby na trwającym 100 sekund filmie z udziałem Mela Gibsona? Czy dzięki temu jakiś mieszkaniec Londynu, Kopenhagi lub Nowego Jorku założył konto w PKO BP, kupił trochę prądu w Enei lub polisę na życie w PZU?

Oczywiście, dzisiaj firmy kierują się też czymś, co nazywa się „społeczną odpowiedzialnością biznesu” i wspierają na przykład domy dziecka. Pytanie, ilu Polaków, wzruszonych kampanią wymierzoną w sędziów, postanowiło założyć lokatę w PKO BP, a ilu skłonił do tego widok biało-czerwonej flagi powiewającej nad jachtem dzielnie tnącym wody Oceanu Atlantyckiego. Być może prezesi spółek-donatorów potrafią uzasadnić celowość przelewów na konto Fundacji o wartości kilkudziesięciu milionów złotych, ale na razie im się to nie udało.

Powołanie Polskiej Fundacji Narodowej było potrzebne PiS, tu nie ma wątpliwości. Ale także w tej sprawie PiS zachował się jakby był właścicielem państwa i mógł dysponować wszystkimi jego aktywami według własnego uznania, z pominięciem prawa.

Jeszcze kilka słów o Orlenie. Państwowy gigant paliwowy zwiększył swój budżet marketingowy dwukrotnie, do astronomicznej kwoty 339 milionów złotych! Jakie jest uzasadnienie tak potężnego wzrostu? Czy w ostatnich latach zaobserwowaliśmy wzrost konkurencyjności spółki na rynku paliwowym polskim, czy nawet europejskim – Orlen jest w końcu właścicielem stacji w Niemczech i firmy w Czechach? Czy raczej chodzi o to, że poprzez budżety marketingowe najłatwiej wytransferować pieniądze do „ziomków”? Do agencji reklamowych, piarowskich, wizerunkowych, a później, być

może, w inne rejony? Warto przy tym dodać, że państwo wciąż zwiększa swój stan posiadania w gospodarce. Kupno Pekao i Alior Banku było spektakularne, ale publiczne pieniądze zostały także zainwestowane – zazwyczaj zresztą z marnym skutkiem – w hotele, hurtownię spożywcze, fabrykę żarówek, producenta garniturów. Sprywatyzowane państwo ma być omnipotentne.

■ ZIOBRZYĆCI KUPUJĄ POPARCIE

Pieniądze są w polityce instrumentem ważnym, niestety coraz ważniejszym. Prawica dawno to rozumiała i dzisiaj nie ma żadnych oporów, aby korzystać z publicznych zasobów. Dobrym przykładem są działania Solidarnej Polski Zbigniewa Ziobro, która bez zahamowań wykorzystuje Fundusz Sprawiedliwości, stworzony do wspierania ofiar przestępstw. Zamiast tego służy budowaniu popularności ziobrystów w terenie lub zacieśniania sojuszy na szczytach. To dzięki Funduszowi Sprawiedliwości działające na prowincji Ochotnicze Straże Pożarne dostają nowe wozy strażackie, co ma zwiększać sympatię do Solidarnej Polski. To z tego funduszu zapłacono za oprogramowanie do systemu szpiegującego obywateli „Pegasus”, wsparto Centrum Ochrony Praw Chrześcijań, jedną z wielu fundacji Tadeusza Rydyzka.

Pozostaliśmy przy pieniądzach, ale w związku z pandemią koronawirusa. Nie chcę już pisać o słynnych maseczkach od instruktora narciarskiego i respiratorach kupowanych od handlarza bronią, ani o pieniądzach, które popłynęły w formie dotacji do spółek rodzinie powiązanych z byłym ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim, bo to zbyt oczywiste. Równie ciekawym przykładem jest szpital zwanym Narodowym. Koszt jego powstania to, jak twierdzą posłowie opozycji, 21,5 miliona złotych. Starannie ukrytych 21,5 miliona złotych. W głosowaniu nad tak zwaną ustawą covidową, przez nieuwagę posłów PiS – to znak czasu – znalazł się zgłoszony przez opozycję zapis, w myśl którego rząd powinien podać do wiadomości publicznej, ile dokładnie kosztuje budowa szpitali tymczasowych i które firmy na tym zarabiają. Ustawa, choć podpisana przez prezydenta, nie została opublikowana i nigdy nie weszła w życie. Uchwalono nową, ale wówczas posłowie Zjednoczonej Prawicy byli już bardziej uważni i jeszcze bardziej zjednoczeni – punkt o konieczności ujawniania kosztów zniknął, a wraz z nim we mgle rozplłynęli się beneficjenci inwestycji. A warto byłoby ich poznać. Nie

tylko dla zaspokojenia ciekawości, jawność jest przecież jednym z fundamentów i demokracji, i wolnego rynku.

W obchodzeniu się z państwowymi pieniędzmi politycy PiS mogą konkurować z największymi utracjuszami współczesnego świata. Córki rosyjskich oligarchów – a majątek dwudziestu najbogatszych Rosjan jest większy niż budżet całej Federacji Rosyjskiej – mogą przy politykach polskiej prawicy uchodzić za wzór oszczędności i wstrzemięźliwości. Ale co zrobisz właścicielowi...

■ JAK ZOSTAĆ DRUGIM GRABSKIM...

Poczucie, że politycy PiS czują się pełnoprawnymi właścicielami III RP, że po 2015 roku zaczęli Polskę w błyskawicznym tempie prywatyzować, widać nie tylko w ich podejściu do publicznych pieniędzy, choć listę ich przewin w tej dziedzinie można byłoby ciągnąć długo. Poszerzając ją choćby o słynny program miliona samochodów elektrycznych, budowę kanału przez Mierzęę Wiślaną (z obiecanych 880 milionów złotych koszt wzrósł już do ponad 2 miliardów złotych i zwróci się, jak twierdzą naukowcy, po 1500 latach), budowę Centralnego Portu Komunikacyjnego – aby zaspokoić marzenie Morawieckiego o byciu „drugim Grabskim” – budowę węglowego bloku energetycznego w Ostrołęce (1,1 miliarda utopionych w błocie złotych), aby umocnić pisowskie wpływy w regionie. Lista jest dłuższa.

Właścicielskie ciągoty widać też w innych dziedzinach. Sprawa „dwóch wież” i udziału w niej Jarosława Kaczyńskiego? Sprawa GetBacku i jego „bezpiecznych obligacji”, która kosztowała Polaków 2,6 miliarda złotych i w którą zaangażowane były najwyższe czynniki, rodziny premiera nie wyłączając? Afery Komisji Nadzoru Finansowego, Mariana Banasia, Piebiaka, importu węgla z Rosji, zakupu kolekcji Czartoryskich, zatrzymania Romana Giertycha? Czy w którejkolwiek z nich zapadł wyrok, ile z nich doczekało się choćby wstępnego zainteresowania prokuratury lub innych państwowych instytucji?

Prawica, na szczęście z umiarkowanymi sukcesami, próbuje prywatyzować nawet przeszłość, czemu służy między innymi zawłaszczanie legendy Józefa Piłsudskiego, Armii Krajowej i Polskiego Państwa Podziemnego, tworzenie mitu żołnierzy wyklętych, a przede wszystkim Lecha Kaczyńskiego. Rozhulanie, ponad wszelkie granice racjonalności, oskarżeń o „mord” w Smoleńsku. Zapowiedź zmiany lektur

szkolnych, programów nauczania, również na poziomie akademickim, forsowanie prawicowych twórców, choćby pisarzy promowanych za granicą przez Instytut Książki, mają wzbudzić przekonanie, że cała polska tradycja to tradycja prawicowa i katolicka.

■ PEDOFILIA POD OCHRONĄ

Znakomitą ilustracją schematu działania sprywatyzowanego przez PiS państwa jest sprawa kościelnej pedofilii. Oskarżenie ludzi Kościoła – instytucji dzisiaj całkowicie zlepionej z partią rządzącą – jest dla Prawa i Sprawiedliwości niewygodne, a nawet szkodliwe. Gdy skala pedofilii zostaje ujawniona – 9 maja 2019 roku w pierwszym filmie braci Sekielskich *Tylko nie mów nikomu* – premier Morawiecki grzmi z sejmowej mównicy, że „nie będziemy pobłażliwi dla zbrodni pedofilskich”. Kolejny rok dowodzi jednak, że Morawiecki znowu mija się z prawdą. Sprawa jest bowiem coraz bardziej rozwadniana. Dowodzona przez Jacka Kurskiego, czyli – jak sam mówił – „bulteriera Kaczyńskiego” państwowa telewizja próbuje przekonać swoich widzów, że pedofilia jest grzechem różnych grup społecznych, na przykład murarzy, a już przede wszystkim celebrytów (*Nic się nie stało*, film Sylwestra Latkowskiego o sopockiej Zatoce Sztuki). Wreszcie, zgodnie ze srogim zapewnieniem premiera, powołana zostaje komisja ds. pedofilii, na wszelki wypadek nazwana biurokratycznym slangiem „Państwową Komisją do spraw wyjaśniania przypadków czynności skierowanych przeciwko wolności seksualnej i obyczajności wobec małoletniego poniżej lat 15”, choć mogłaby się po prostu nazywać – odwołując się do ulubionej retoryki Morawieckiego – „Narodową komisją do spraw pedofilii”.

Komisja powstaje w lipcu 2020 roku – zajmuje to więc PiS-owi ponad rok od sejmowej debaty! – ale faktycznie zaczyna działać dopiero późną jesienią 2020 roku, już po emisji kolejnego filmu Sekielskich i wielu prasowych publikacjach na temat księży molestujących chłopców i dziewczynki. Co więcej, dopiero po reakcji Watykanu na oskarżenia wobec biskupa Janiaka, ukaraniu kardynała Gulbinowicza i filmie o kardynale Dziwiszu. Wcześniej, taka dziwna koincydencja, prokuratura ściga powołaną do komisji przez Senat sędzię Agnieszkę Rękas, którą próbuje skompromitować oskarżeniem – robi to niezawodny sędzia Przemysław Radzik – że *podjęła działalność publiczną nie dającą się pogodzić z zasadami niezależności i niez-*

wisłości sędziów. Oskarżenie, jak przytłaczająca większość wysuwanych przez sędziego Radzika, okazuje się bzdurą, za to szefem komisji zostaje związany z Ordo Iuris Błażej Kmiecik. Sejm nie znajduje natomiast miejsca w komisji dla księdza Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, jednego z nielicznych ludzi Kościoła rzeczywiście bezkompromisowo walczących z pedofilią wśród duchownych.

■ GWAŁTU NIE MA...

Napisałem, że komisja zaczęła działać późną jesienią 2020 roku, ale te słowa wymagają uściślenia. Znalaziono dla komisji lokum, ustanowiono budżet, zatrudniono pracowników. Na razie tyle, gwałtu przecież nie ma, to trzeba przemyśleć, podejść systemowo... A że dzieci nadal są przez pedofilów, także tych w sutanach, molestowane i gwałcone, że z powodu opieszałego działania niektóre zbrodnie się przedawniają? Cóż, w sprywatyzowanym państwie właściciel nie będzie przecież podnosił ręki na swoich lojalnych i oddanych pomocników. Ot, czasem, pod wpływem opinii publicznej musi tylko zrobić trochę szumu, aby pokazać się z dobrej strony, zamknąć krzykaczom usta i uspić „ciemny lud”.

Pozostajmy przy Kościele, tym najlojalniejszym z lojalnych sojuszników w dziele prywatyzacji Polski. W 2015 roku państwowy skarbiec szeroko otworzył swoje podwoje dla tej instytucji, ale nie tylko w tym problem. Wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew naukowym danym i światowemu doświadczeniu, wbrew namacalnym wynikom osiągniętym także w Polsce, na życzenie biskupów praktycznie zamknięto państwowy program *in vitro* i pary, które nie są w stanie począć dziecka w sposób naturalny, mogą dziś liczyć tylko na niektóre samorządy. A przecież wyniki z lat wcześniejszych były zachęcające – w latach 2013–2016 państwowym programem *in vitro* objęto blisko 20 tysięcy par i urodziło się 22,2 tysiące dzieci (statystycznie: 1,13 dziecka na parę). W 2016 roku, zgodnie z wolą biskupów, PiS zastąpił stosowanie tej metody „programem ochrony zdrowia prokreacyjnego”, do którego przystąpiło 5,7 tysięcy par. Efekt to 294 ciąży, statystycznie 0,05 ciąży na parę.

Porównanie tych dwóch wartości wypadła drugogocą dla obecnej władzy, ale właściciel ma swoje ideologiczne fiksacje i trzyma się ich konsekwentnie, a swoje prawo własności rozciąga na coraz więcej sfer, intymnych nie wyłączając. Coraz częściej do opinii publicznej przedostają się informacje, że policja wzywa na

przesłuchania kobiety, które kupiły w aptece „pigułkę dzień po”. Takie informacje dochodziły w ostatnich latach między innymi ze Szczecina, z Warszawy i kilku mniejszych miejscowości. Wcześniej, w lipcu 2017 roku, PiS wprowadził przepisy, które spowodowały, że ten wczesnoporonny specyfik można kupować wyłącznie na receptę, podczas gdy poprzednio – tak jak w większości krajów Unii Europejskiej (w niektórych jest ona nawet bezpłatna) – był dostępny bez tego typu ograniczeń.

■ RADIOWOZY POD DOMEM KACZYŃSKIEGO

Nic nie pokazuje arogancji pisowskich właścicieli Polski lepiej niż niedawny wyrok Trybunału Konstytucyjnego Julii Przyłębskiej w sprawie tzw. ustawy aborcyjnej. Wniosek polityków rządzącej partii w tej sprawie leżał w szufladzie magister Przyłębskiej przez wiele miesięcy. Dopiero jesienią tego roku, bez wątpienia na polecenie prezesa PiS, Trybunał nagle – w środku pandemii – zajął się sprawą i 22 października 2020 roku wydał wyrok, ograniczając, i tak już najbardziej restrykcyjne w Unii Europejskiej, prawo do legalnej aborcji. Właściciel Polski złamał – kulawy, ale jednak – konsensus obowiązujący od 1993 roku.

Z sondażu przeprowadzonego na początku listopada 2020 roku wynika bowiem, że 74,6 procent Polaków popiera prawo do aborcji, dla której przesłanką jest wykrycie wad płodu, 87,7 procent, gdy ciąża zagraża życiu matki, a 82,1 procent, gdy ciąża jest owocem gwałtu. Można więc uznać, że tak wygląda odsetek osób opowiadających się za tak zwanym kompromisem aborcyjnym z 1993 roku. Ten bowiem uznawał, że aborcja jest legalna w przypadku, gdy ciąża zagraża życiu matki, była efektem czynu przestępczego i gdy wykryto poważne wady płodu. Z innych badań wynika, że 75 procent Polaków sprzeciwia się zaostrzeniu prawa aborcyjnego, a przeciwnego zdania jest 17 procent. Dlaczego PiS poszedł wbrew opinii przytłaczającej większości? Bo mógł. Jak ktoś czuje się właścicielem, to jest przekonany, że może wszystko. I nikt nie może mu tego zabronić.

Sprywatyzowaną Polskę najlepiej obrazują dziesiątki policyjnych radiowozów stojących w dniu demonstracji Ogólnopolskiego Strajku Kobiet przed domem Jarosława Kaczyńskiego. Dom Kaczyńskiego jest zresztą chroniony przez policję od wielu lat, choć przecież do 6 października 2020 roku lokator warszawskiej ulicy Mickiewicza był tylko szeregowym posłem. Czy w ten sposób policja chroni też

domy Borysa Budki, Włodzimierza Czarzastego czy Krzysztofa Bosaka? Czy z równą pieczołowitością, podobnymi siłami i porównywalnym zaangażowaniem, co kolejne miesięczne smoleńskie, chronione są spotkania polityków Platformy Obywatelskiej, Lewicy i Konfederacji?

■ TO MUSI BYĆ DZIAŁANIE CELOWE

Sfera bezpieczeństwa państwa została w ostatnich latach całkowicie wyjęta spod prawa i do cna sprywatyzowana. Służby specjalne, policja i w znacznym stopniu wojsko nie są już instytucjami państwowymi, ale czysto partyjnymi. Dotyczy to również stosowania prawa. Prokuratura działa wedle poleceń partyjnych zwierzchników, rzucając się z pasją wygłodniałego buldoga na domniemanych sprawców uchybień, które mogą zaszkodzić PiS, za nic mając najbardziej oczywiste łamanie prawa przez ludzi z własnego obozu. Przykład czterastoletniego Macieja Rauhuta z Krapkowic, który na Facebooku udostępnił post o szykowanej w tym mieście demonstracji jest tego najwymowniejszym dowodem.

O sprawie Srebrnej już wspominałem, ale przecie obok tych oczywistych afer: KNF-u, respiratorowej, maseczkowej czy dotacji dla spółek powiązanych z byłym ministrem zdrowia, są jeszcze działania wiceministra resortu rozwoju, który walnie przyczynił się do otwarcia zamkniętych w ramach covidowych obostrzeń stoków narciarskich, bo sam jest udziałowcem jednego z nich. Czy prokuratura nie powinna się temu przyjrzeć, czy o winie lub niewinności zamieszanych w te afery ludzi nie powinien rozstrzygnąć niezależny sąd? Nie przygląda się, bo wszyscy ci ludzie należą do kasty nowych właścicieli Polski. A kasta stoi ponad prawem. W dodatku Prawo i Sprawiedliwość – po pięciu latach rządów ta nazwa brzmi bardzo ironicznie – próbuje tę bezkarność ustawowo uregulować. Ustawa abolicyjna dla urzędników państwowych wprawdzie nie przeszła, ale tylko dlatego, że poległa w wyniku wewnętrznych tarć w obozie władzy.

Warto też zdać sobie sprawę, że groźba złożenia przez PiS weta podczas grudniowego szczytu UE, pozbawiająca Polskę – i każdego Polaka – pieniędzy z unijnego budżetu, wynikała wyłącznie z faktu, że Bruksela sprzeciwia się dokończeniu procesu prywatyzacji wymiaru sprawiedliwości. Po to właśnie Jarosław Kaczyński rękoma Ziobry „reformuje” sądy. Ich przejście będzie oznaczało całkowite posłuszeństwo wobec władzy. Bo czy ktoś

jeszcze wierzy, że „reforma” sądów ma doprowadzić do pozbycia się „sędziów komunistycznych”, skoro tymi działaniami w Sejmie kierował w latach 2015–2019 Stanisław Piotrowicz, „komunistyczny prokurator”? Czy jest jeszcze ktoś przekonany, że u podłoża tych działań leżała chęć usprawnienia wymiaru sprawiedliwości? Przecież to niemożliwe, nikt nie jest takim ciemajdą, aby w zaledwie kilka lat doprowadzić sądownictwo do aż takiej ruiny. Jej obraz dobrze ilustruje liczba wakatów w sądach, wynosząca w 2019 roku – 841, podczas gdy w 2015 roku, kiedy Zjednoczona Prawica objęła rząd, oscylowała wokół 500! W efekcie na jednego sędziego sądu rejonowego przypada dzisiaj 2706 spraw, podczas gdy w 2016 roku było to ok. 938. W prokuraturze liczba spraw trwających ponad sześć miesięcy wzrosła w tym czasie o 270 procent, a liczba osób siedzących w areszcie ponad dwa lata – o 443 procent! Nikt nie jest aż takim nieudacznikiem, aby w tak krótkim czasie tak dokumentnie wszystko rozwalić. To musi być działanie celowe.

■ PAŃSTWO PRYWATNE

Polska stała się „państwem prywatnym”. Jeszcze nie na taką skalę, jak ma to miejsce w Putinowskiej Rosji lub na Węgrzech Orbána, a do niedawna na Białorusi Łukaszenki, ale jesteśmy na tej samej ścieżce. „Prawo, które nie służy narodowi, to bezprawie”, wzniosłe hasło ogłoszone przez Kornela Morawieckiego podczas inauguracyjnego posiedzenia Sejmu w 2015 roku – parlamentarzyści PiS zgotowali mu za to owację na stojąco – zmieniło się w swoją karykaturę. Dzisiaj prawo służy jednej partii, a mówiący precyzyjnie – właścicielowi tej partii.

Czy proces prywatyzacji Polski można zatrzymać, a później odwrócić? Przykład Ukrainy, dzisiaj być może Białorusi, wreszcie przykład Peerelu, daje nadzieję. Ale przykłady Rosji, Węgier, Kazachstanu, w dużym stopniu Chin, brzmią jak memento. Kupno przez ściśle kontrolowany Orlen wszystkich wydawanych przez Polska Press mediów lokalnych – przed czym zresztą w „Odrze” ostrzegałem już kilka lat temu – każe myśleć, że „właściciele Polski” wybrali model rosyjski (od lat powielany na Węgrzech). Najwyraźniej w Nowogrodzkiej uznano, że właściciel musi zdominować, a później zmonopolizować całość medialnego przekazu, by tym skuteczniej sprawować swoją właścicielską misję. Ale to nie lokalne media były celem; są jedynie środkiem do celu. Bo tym jest zniewolenie samorządów.

Jakość kadr, którymi Prawo i Sprawiedliwość dysponuje, nie pozwalała dotąd tej partii zdominować samorządów, a w dużych miastach PiS ponosił spektakularne porażki. Teraz drogą do osiągnięcia celu ma być obrzydzenie lokalnym społeczeństwem samorządowców, którzy nie są przez PiS namaszczeni, zgodnie z zasadą „Ciemny lud to kupi”. A jak uda się złamać duże miasta, to małe nie będą stanowiły problemu. O tym, że kupno przez Orlen lokalnych dzienników nie było transakcją biznesową, a realizacją politycznego planu przekonuje choćby to, że od pewnego czasu nad nową obsadą personalną tych redakcji pracuje Michał Karnowski ze ściśle związanego z PiS portalu wPolityce. To daje wyobrażenie, jaka będzie nowa linia programowa „orlenowskiej” prasy.

■ HAJDA NA SAMORZĄDY

PiS starannie przygotowuje się do wojny o samorządy. Zapowiedziany na początku grudnia 2020 roku Fundusz Inwestycji Lokalnych bardzo pieczołowicie wyselekcjonował samorządy, które staną się beneficjentami 12 miliardów złotych bezwrotnych pożyczek. Takie miasta, jak Warszawa, Wrocław, Poznań, Gdańsk, Lublin, Kielce – rządzone przez większość opozycyjną wobec „właścicieli Polski” – nie dostały z Funduszu ani złotówki. Całkiem dosłownie ani złotówki. Szerokim strumieniem pieniądze popłyną za to do tych samorządów, w których rządzą pisowskie kadry. To ma pokazać, że są lepszymi włodarzami niż politycy związani z opozycją, a w przyszłości dać władzę Prawu i Sprawiedliwości.

Co nie znaczy, że walka z niezależnymi mediami jest dla PiS nieważna. Partia cały czas realizuje scenariusz, który sprawdził się na Węgrzech. Ujawnione niedawno przez Romana Giertycha nagrania ze spotkania Adama Hofmana, byłego rzecznika Prawa i Sprawiedliwości, a dzisiaj właściciela związanej z władzą firmy *public relations*, z biznesmenem Leszkiem Czarneckim wskazują, że zabiegi mające na celu całkowite wyeliminowanie niezależnych mediów trwają od dawna. Próba odkupienia od Amerykanów części TVN spaliła na panewce, ale nie znaczy to, że plan został zarzucony. Zaraz po ogłoszeniu transakcji między Orlenem a Polska Press poseł Krzysztof Sobolewski, przewodniczący Komitetu Wykonawczego PiS, napisał w mediach społecznościowych, że *najlepsze dopiero nadchodzi*. Z nieoficjalnych informacji wynika, że na celowniku Prawa i Sprawiedliwości jest jeden z największych portali internetowych, a roz-

mowy z jego właścicielami są bardzo zaawansowane. PiS się spieszy, aby transakcja została zawarta przed 20 stycznia 2021 roku, gdy w Waszyngtonie miejsce Donalda Trumpa zajmie Joe Biden, bo naciski nowej amerykańskiej administracji mogą ten plan zniweczyć.

Właśnie Biden w Białym Domu i Unia Europejska to – jeśli abstrahować od sytuacji wewnętrznej i konfliktu w samej Zjednoczonej Prawicy – dwie największe przeszkody do zakończenia przez prezesa PiS procesu prywatyzacji Polski. Wojna z Brukselą w sprawie powiązania praworządności z unijnym budżetem była być może ostatnią, w której Jarosław Kaczyński zdecydował się ustąpić. Zmusił go do tego popandemiczny kryzys gospodarczy i perspektywa gigantycznych pieniędzy na jego zakłajstrowanie. Za siedem lat staniemy się w Unii płatnikiem netto, więc jeśli PiS nadal będzie sprawował władzę, zacznie się proces wyprawdania Polski z Unii Europejskiej. Jej zasady wyraźnie bowiem Zjednoczonej Prawicy ciążyą.

■ NO TO MOŻE SOJUSZ Z CHINAMI?

Co będzie alternatywą? Może to być sojusz z Chinami, które są dzisiaj jednym z dwóch największych globalnych mocarstw z realną szansą na wyprzedzenie Stanów Zjednoczonych. Z punktu widzenia dzisiejszych „właścicieli Polski”, ale także „właścicieli” wszystkich innych państw, Pekin ma jedną, za to zasadniczą przewagę nad Waszyngtonem czy Brukselą – demokracja jest mu serdecznie obojętna. Dokładnie tak jak Kaczyńskiemu i jego akolitom.

Piotr Gajdziński

Taką przeróbką Internet zareagował na informację, że państwowy gigant paliwowy PKN Orlen kupił grupę wydawniczą Polska Press, właściciela ponad 20 dzienników (w miastach wojewódzkich) i 150 tygodników regionalnych w całej Polsce oraz portale internetowe docierające w sumie do ponad 17 mln czytelników. Grafika za stronę paczaizm.pl

